

Jean był typowym skromnym, szczupłym mężczyzną, niepozornie, acz elegancko ubranym, jak przystało na paryżanina — w odcienie bieli, czerni i popieli. Jak zwykle, po godzinie siedemnastej, wracał pociągiem z pracy. Mieszkał niedaleko dworca Clichy-Levallois, więc spokojnym krokiem zmierzał do typowego czynszowego mieszkania w starej kamienicy. Minął nielegalnego sprzedawcę owoców, miłego, śniadego mężczyznę — pewnie z Pakistanu — i skręcił w lewo. Otworzył wielkie, stare drzwi zamkiem szyfrowym i wszedł do wyłożonej ceramiką bramy. Było ciemno, więc włączył światło. Zdumiony ujrzał trzech mężczyzn o wyraźnie arabskich rysach twarzy. Jeden z nich klęczał rozebrany na podłodze z nożem przyłożonym do szyi, drugi stał za nim i pilnował, aby ofiara nie wykonywała żadnego ruchu, trzeci z nich przeszukiwał rozłożone starannie na zimnej podłodze rzeczy. Wszyscy trzej patrzyli szeroko otwartymi oczami na zdumionego tym widokiem Francuza, który rzekł spokojnym głosem:

— Panowie, nie przeszkadzajcie sobie, ja tutaj mieszkam. Przepuście mnie?

— Dobrze, tylko bez numerów.

— Nie interesują mnie wasze sprawy.

— Pan mnie zna, prawda?

— Tak, od dziecka.

— No właśnie, więc będzie pan siedział cicho.

— Oczywiście. Nic nie widziałem.

— I o to chodzi.

Paryżanin spokojnie minął napastników i podszedł do kolejnych drzwi zamykanych szyfrem, prowadzących na klatkę schodową. Nagle poczuł dziwne ukłucie w okolicach nerek. Świat zawirował mu przed oczami. Jean upadł. Obudził się w białym łóżku, w białym pomieszczeniu. Zdumiony przez kilka minut lustrował pokój i twarze nachylone nad nim. Po chwili zrozumiał, że znajduje się w szpitalu, podłączony do jakiejś aparatury:

— Mamy pana, już nam pan nie ucieknie.

— O co chodzi?

— Dostał pan nożem w plecy, ale wszystko jest w porządku, pana życie nie jest zagrożone.

— Nie rozumiem.

— Ktoś chciał pana zabić, ale mu się to nie udało.

— Jak to?

— Niczego pan nie pamięta?

— Wracalem z pracy... Ach tak, chyba wiem, o co chodzi.

— Jutro będzie tutaj policja. Dzisiaj niech pan odpoczywa. Pana córka jest tutaj.

Czy chce pan się z nią zobaczyć?

— Tak, naturalnie.

— W poręczy łóżka jest czerwony przycisk. Jeśli się pan źle poczuje, proszę dzwonić.

— Dziękuję.

— I niech pan zbyt długo nie rozmawia z córką, musi pan wypoczywać.

— Dobrze.

Mężczyzna powoli zaczynał rozumieć. Mieszkający niedaleko znany mu Arab, którego mimo mroku rozpoznał w korytarzu, chciał zlikwidować świadka. Przerażony patrzył w piękną twarz córki, która właśnie weszła do szpitalnego pokoju.

— Tato, to ja! Poznajesz mnie?

— Tak, usiądź Marie.

— Bardzo się o ciebie bałam. Znaleźli cię Polacy mieszkający w domku dozorczy.

To oni zadzwonili po pogotowie.

— Muszę im podziękować.

— Zdązysz jeszcze. Jak się czujesz?

— Dobrze. Ale właściwie, co się stało?

— Ktoś chciał cię zabić. Dlaczego?

— Nie mam pojęcia.

— Polacy mówili, że to byli jacyś Arabowie.

— Bardzo możliwe.

Jean patrzył na siedzącą na skraju jego łóżka śliczną, młodą dziewczynę. Była podobna do matki. Drobna, z jasną cerą, wielkimi czarnymi oczami i ciemnymi włosami układającymi się w długie loki.

— Jesteś piękną kobietą, Marie,

— Tato... przestań.

— Skąd wiedziałaś, że się tutaj znalazłem?

— Miałaś moje zdjęcie w portfelu z numerem telefonu, to, które dostałaś ode mnie na osiemnaste urodziny, pamiętasz?

— Pamiętam. Mama wie?

— Nie, jest ze swoim fagasem na wakacjach, daleko od Paryża.

— Nic jej nie mów.

— Dobrze. Tato, przeprowadź się do mnie... przynajmniej na jakiś czas. Ci ludzie mogą znowu cię dopaść, a ja boję się o ciebie.

— Nie, nie trzeba, dam sobie radę, a policja na pewno zajmie się bandytami.

— Wątpię. Moim zdaniem grozi ci niebezpieczeństwo.

— Też zacznę nosić przy sobie nóż.

— Nie wygłupiaj się, nie jesteś ulicznym rzeźmieszkiem.

— A szkoda. Mieszkam w takim miejscu, że niedługo nim zostanę.

— Muszę już iść. Lekarz dał nam tylko kwadrans.

— Dziękuję ci, Marie, jesteś dobrym dzieckiem.

— A ty najlepszym ojcem na świecie.

— Miło, że tak mówisz.

Dziewczyna pocałowała ojca w policzki i szybko wybiegła z białego pokoju. Po chwili obok rannego pacjenta zjawiała się pielęgniarka, nastawiła elektroniczną kroplówkę i szybko wyszła. Jean poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po jego ciele i natychmiast zasnął. Kiedy się obudził, było już jasno, a obok łóżka stał z zatroskaną miną znajomy lekarz. Spojrzał badawczo na pacjenta. Na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech:

— Jak pan się dzisiaj czuje?

— Jeszcze nie wiem.

— Dobra odpowiedź. Za drzwiami czeka policjant. Twierdzi, że jest pana znajomym, i chce panu zadać kilka pytań. Czy myśli pan, że jest pan w stanie na nie odpowiedzieć?

— Sądzę, że tak.

— Dobrze, macie panowie dwadzieścia minut.

— Dziękuję, panie doktorze.

— Nie ma za co. Niech pan pamięta, dwadzieścia minut. Jest pan jeszcze bardzo słaby.

Doktor powoli wyszedł, a po chwili w drzwiach ukazał się potężnie zbudowany, szczupły, wysoki policjant w cywilnych ciuchach. Na widok leżącego mężczyzny na jego poranej zmarszczkami twarzy pojawił się szeroki uśmiech:

— Jean, ile to już lat?

— Chyba dziesięć, może piętnaście.

— Nie chciałem tego spotkania w takich okolicznościach.

— Ja też nie. Ty prowadzisz śledztwo?

— Tak.

— To dobrze. Co się właściwie stało?

— Liczyłem, że ty mi odpowiesz na to pytanie.

— Wracalem z pracy, w bramie bylo trzech Arabow, dwuch stalo, a jeden z nich trzymal noz przy gardle klęczącego innego Araba, rozebranego do bielizny. Chciałem przejść, zrobili mi nawet przejście, podszedłem do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Wtedy poczułem ból w plecach. Obudziłem się tutaj. Resztę już znasz.

— Rozpoznałeś któregoś z nich?

— Nie, oni wszyscy są do siebie podobni.

— Groził ci ktoś kiedyś w jakikolwiek sposób?

— Nie, tylko kilkakrotnie młodzi Arabowie pokazywali mi gest ucinanej głowy.

— To się zdarza codziennie i jest raczej normalne, ludzie już do tego przywykli.

— Czy oni mnie zabiją?

— Nie wiem, prawdopodobnie nie, bo to zwykli złodzieje, jakich pełno w Paryżu.

Po prostu znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie, to wszystko.

— A ci Polacy, którzy mnie znaleźli? Może oni kogoś widzieli, rozpoznali?

— Nie. Akurat wrócili wcześniej z pracy i natknęli się na ciebie w korytarzu. Zrozum, to ludzie z Europy Wschodniej, którzy nie lubią policji, nie chcieli nic mówić, zasłaniając się brakiem znajomości naszego języka. Nie, oni nam nie pomogą.

— Rozumiem. To co dalej ze mną będzie?

— Nic, wrócisz do pracy i tyle. Oczywiście zostaniesz jeszcze raz przesłuchany na komisariacie. Nie zamkniemy śledztwa tak szybko. Na pewno nie rozpoznałeś żadnego z nich?

— Było ciemno.

— Rozumiem. Dobrze, masz tutaj moją wizytówkę. Jak wydobrzejesz, zadzwoń, musimy koniecznie porozmawiać.

— Dziękuję.

— Jakbyś sobie coś przypomniał, zadzwoń na mój prywatny telefon.

— Tak jest.

— Do widzenia.

— Żegnaj.

Policjant sztywnym krokiem wyszedł z jasnego pokoju. Jean lubił Paula, wielkiego kolegę z lat dziecińczych, z którym wychowali się w jednej kamienicy. Kiedyś mieszkali w niej sami rodowici paryżanie, teraz hindusi, Polacy i przypadkowi ludzie nie wiadomo skąd. Tylko on został w mieszkaniu rodziców. Po rozwodzie musiał gdzieś się podziąć, bo żona zabrała dom i córkę. Wrócił więc na stare śmieci. Pracował jako informatyk dla jednego z wielkich banków, zarabiał nieźle, ale płacił wysokie alimenty i to zadecydowało o takim, a nie innym miejscu zamieszkania. Rodzice zostawili mieszkanie jemu, czynsz nie był wysoki. Poza tym Jean miał tylko kilka minut do dworca kolejowego, a stamtąd tylko jedną stację do głównego węzła kolejowego Hausmann Saint-Lazare. Stamtąd miał dobry dojazd pociągiem do pracy w jednym z głównych wieżowców La Defense. Dlatego nie zmieniał mieszkania.

Jean szybko wracał do zdrowia. Kiedy wyszedł ze szpitala, odwiedził kolegę policjanta. Na tym etapie śledztwo znajdowało się w martwym punkcie. Po kilku tygodniach, gdy mężczyzna wracał z pracy, znowu po otwarciu bramy natknął się na znajomego Araba z dwoma innymi kolegami.

— Witaj Jean, wywinąłeś się śmierci, co?

— Czego chcesz?

— Spokojnie, jesteś w porządku. Gliny nic nie wiedzą, ale jakbyś zmienił zeznania, to pamiętaj... dopadniemy twoją śliczną córkę, wiemy, gdzie mieszka, studiuje... wiesz, o czym mówię, prawda?

— Tak.

— To uważaj.

— Nawzajem.

— Co masz na myśli?

— Znam cię od dziecka, wiem, że prowadzisz niebezpieczne życie.

— Aaa, chyba że tak. No, ale siedź cicho. Pamiętaj! Wiemy, gdzie ona mieszka.

— Będę o tym pamiętał.

Arabowie zaśmiali się szyderczo i szybko wybiegli z ciemnej bramy. Jean czuł, że drżą mu dłonie, nie mógł otworzyć kolejnego zamka szyfrowego. Wreszcie jakoś się przemógł, wszedł do mieszkania, zamknął drzwi na wszystkie zasuwki, wypił dwa kieliszki koniaku jeden po drugim i postanowił działać. Odezwała się w nim krew przodków — jego dziadek walczył całe życie w Legii Cudzoziemskiej. Widocznie przekazał wnukowi jakiś gen odpowiadający za odwagę i zdecydowanie. Jean postanowił walczyć. Pamiętał, że obok miejskich rowerów co tydzień spotykali się

Arabowie. Często ich tam widywał — czekali na jakiś samochód, którym jeździli wspólnie na weekend, a potem wracali. Wśród nich był grożący mu napastnik i jego kompan, który zadał mu cios nożem. Jean postanowił ich śledzić. Pożyczył z pracy służbowy samochód i czekał z niecierpliwością na piątkowy wieczór. Wreszcie nadszedł ten dzień. Dyskretnie obserwował ze swojego okna w mieszkaniu grupkę Arabów stojącą spokojnie obok parkingu miejskich elektrycznych rowerów i palących papierosy. Wreszcie podjechał dostawczy biały samochód. Jean od razu zszedł na dół. Tak jak przypuszczał, wszyscy poszli do okolicznego arabskiego sklepiku. Wyszedł z bramy, podszedł do busa i przymocował za tylnym zderzakiem niewielki nadajnik. Szybko wrócił do mieszkania i uruchomił urządzenie, by sprawdzić w komputerze, czy wszystko działa. Sprawowało się idealnie. Nadajnik miał zasięg pięćdziesięciu kilometrów, ale spodziewał się, że Arabowie oddalą się na większy dystans. Wreszcie ruszyli. Początkowo kluczyli po paryskich ulicach, by wreszcie wyjechać na autostradę. Skierowali się do Wersalu. Jean postanowił działać. Pobiegnął na dół, uruchomił samochód i ruszył za nimi. Kiedy dotarł na miejsce, było już ciemno. Arabowie siedzieli przy ognisku na polanie w środku lasu, obok jakiegoś starego opuszczonego pałacyku. Było ich dziesięciu. Jeden, chyba przywódca, stał z automatem AK-47 i demonstrował reszcie jego działanie. Byli bardzo pewni siebie, bo nie wystawiali nawet wartowników. Jean postanowił się wycofać. To byli zwykli bandyci lub terroryści. Nie wiedział, co ma robić. Podbiegnął do samochodu i ruszył w kierunku Paryża. Zrozumiał, że życie jego oraz bliskich mu osób znajduje się w niebezpieczeństwie. Arabowie zlekceważyli małego, tchórzliwego Francuza, ale wiedział, że pewnego dnia przyjdą i zamordują z zimną krwią nie tylko jego, ale też całą jego rodzinę. Nie chciał iść na policję, postanowił sprawę załatwić sam. W głowie ułożył mu się gotowy plan, postanowił działać.

Usiadł przy małym biurku, włączył komputer, długo i starannie wertował strony dla modelarzy, aż wreszcie po północy skończył pracę. Zamówił w sieci wszystko, czego potrzebował i polecił dostarczyć przesyłką do pracy, tak dla bezpieczeństwa. Części miały przybyć w ciągu dwóch tygodni. Najważniejsze wykona dla niego znajomy mechanik z warsztatu znajdującego się po sąsiedzku. Taaak, plan działania był gotowy. Postanowił wreszcie wypocząć. Wziął szybko prysznic i natychmiast potem zasnął.

Około dziewiątej rano mężczyznę obudził dźwięk telefonu. Jean spojrział na ekran. To Emma, jego przyjaciółka, z którą od czasu rozvodu romansował. Mieli dziś

w południe się spotkać, ale przez swoje antyterrorystyczne działania zupełnie o tym zapomniał.

— Witaj kochanie, jak się czujesz?

— W porządku.

— A rana na plecach?

— Prawie się zagoiła, ale będę miał pamiątkę na resztę życia.

— Chcesz, bym dzisiaj przyjechała?

— Jasne, czekam.

— Na pewno?

— Tak, na pewno, co za pytanie.

— Masz jakiś smutny głos.

— Obudziłaś mnie, to wszystko.

— Ach... to przepraszam.

— Nic się nie stało. Będziesz w południe?

— Tak, oczywiście. Stęskniłam się za tobą.

— Ugotuję coś dobrego.

— Nie trzeba. Znam fantastyczną nową restaurację i załatwiłam już rezerwację.

— Jesteś nieoceniona.

— Wiem.

Emma nie żartowała. Knajpka była fantastyczna. Dostali stolik na zewnątrz, bawili się świetnie. Do mieszkania Jeana wrócili dopiero wieczorem. Wypili butelkę dobrego szampana i długo się kochali. Nagle dziewczyna podniosła się z przerażoną miną:

— Coś się pali! Czujesz?!

— Nie, to nic takiego, to tylko Polacy na dole robią grilla.

— Nie rozumiem.

— To dla nich normalne. Tam, na podwórku, słyszysz ten dźwięk? To odkurzacz. Rozpalają nim wielki grill, będą świętować i hałasować co najmniej do północy. Taki mają zwyczaj. Wszyscy mieszkańcy się do tego przyzwyczaili.

— Są nienormalni, czy jak?

— To ludzie z Europy Wschodniej, są inni, ale nieszkodliwi. Tanio wyremontowali mi mieszkanie, naprawili wszystko, mają do tego smykałkę, a przy okazji wypili cały zapas alkoholu i opróżnili lodówkę. Tacy już są, ale uratowali mi życie i jestem im winny spokój.

— Rozumiem. Te butelki po piwie na klatce schodowej to też oni?

— Naturalnie.

— Kochanie, przeprowadź się do mnie, mam piękny apartament i dość pieniędzy na utrzymanie nas dwojga. Dlaczego ciągle mieszkasz w tym chlewie, gdzie w dodatku grozi ci śmierć?

— Sam nie wiem.

— Przecież tutaj jest strasznie. Bród, smród i robactwo.

— Lubię to mieszkanie, tutaj się wychowałem.

— Kim był twój ojciec?

— Policjantem, a mama nauczycielką.

— Kiedyś Paryż był inni, bardziej francuski, teraz to metropolia, mieszanka wszystkiego, coraz mniej w nim Francuzów, a coraz więcej dziadostwa z całego świata.

— To prawda, ale my nadal w nim mieszkamy.

— Kiedyś będziemy musieli się wyprowadzić albo nas zabiją jacyś terroryści.

— Spokojnie, jesteś piękną kobietą.

— Starzeję się. Ty tego nie widzisz albo udajesz, że nie widzisz.

— Nieprawda.

— W firmie o nas plotkują.

— No to co. Przecież pracujemy w innych działach, ba, nawet w innych budynkach.

— Boję się.

— Nie rozumiem.

— Boję się przyszłości, mam dziwne sny.

— To psychoza po ostatnim zamachu.

— Zginęła w nim moja przyjaciółka. Poszła tylko do restauracji, nic złego nie zrobiła.

— Wiem o tym.

— Czy ktoś z nimi zrobi wreszcie porządek?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie zostałeś policjantem, tak jak ojciec?

— Szczerze?

— Jak najbardziej. Możesz mi zaufać.

— Takie było życzenie mojego ojca.

— Jak to?



— Widział, co się dzieje, że już od lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku zaczynało się wszystko psuć, tolerancja dla każdego bez granic, imigranci, demoralizacja życia, wypalenie wartości... Ojciec widział to i jako stary gliniarz miał świadomość, że kiedyś nadejdą dni, kiedy policjanci będą ginąć na ulicy jak muchy. Jak widać, miał rację. Wziął kredyt i wygonił mnie na studia. Policjantem za to został mój przyjaciel z podwórka — Paul — który zdaje się, że spełniał wszystkie oczekiwania mojego ojca.

— Nigdy mi tego nie mówiłeś.

— Bo to nudna historia, kiepska na randki z pięknymi kobietami.

— Nie przesadzaj, to jest właśnie dla mnie ciekawe i dziękuję ci, że ją opowiedziałeś. No, ale ja muszę już iść. Ponawiam moją prośbę, żebyśmy zamieszkali razem u mnie.

— Muszę odmówić. Ale kto wie...? Może w przyszłości.

— Dziękuję za piękny wieczór i niezły szampan.

Mężczyzna odprowadził Emmę do samochodu, a następnie szybko wrócił do mieszkania, włączył komputer i wszedł na stronę oferującą darmowe kursy symulacji lotu dronem. Ściągnął aplikację, starannie usunął wszelkie ślady w sieci i porządnie zabezpieczył nowy program na komputerze. Przez kolejne dwa tygodnie każdą wolną chwilę poświęcał na trening i śledzenie samochodu Arabów. Po tygodniu znał ich każdy krok. Powoli kompletował części, aż wreszcie któregoś popołudnia po powrocie z pracy stwierdził, że jest gotowy na konkretne działanie.

Powoli i dokładnie złożył model potężnego drona z kamerą oraz małym reflektorem wyposażonym w specjalne baterie, które powinny wystarczyć na kwadrans lotu robota. Według skrupulatnych wyliczeń urządzenie powinno unieść w powietrzu dwa kilogramy ładunku. Był gotowy.

Jean postanowił to uczcić i w tym celu udał się po dobre piwo do sklepu mieszczącego się na dole kamienicy. Po drodze spotkał znajomego przestępcę, który wsiadając na motor, pokazał mężczyźnie charakterystyczny gest ucinania głowy. Zwykle Francuz udawał, że tego nie widzi. Tym razem było odwrotnie — Jean zrewanżował się tym samym gestem, a napastnika zmroziło z zaskoczenia na kilka dobrych minut. Stał jak osłupiały i patrzył zdumiony za zadowolonym mężczyzną spokojnie wchodzącym do sklepu.

Teraz nadeszła najtrudniejsza część zadania. Przyszły mściciel wyciągnął z szuflady dwa cylindry grubej stali karbowanej niczym obronne granaty. Każdy z nich

posiadał niewielki otwór zakręcany śrubą, również przewierconą. Jean wyciągnął lont, podpalił fragment i sprawdził stoperem szybkość jego spalania. Handlarz internetowy nie kłamał, palił się dokładnie tak szybko, jak podawała instrukcja. Następnie mężczyzna wyciągnął drobno zmielony czarny proch nieco udoskonalony mieszanką tajemniczych składników, powoli i starannie przesypał go do żelaznych cylindrów i zakręcił śrubami obydwie bomby, a następnie zamocował lonty wcześniej odpowiednio przycięte. Odetchnął głębiej. Granaty były gotowe. Zawinął pociski w papier i ukrył w zewnętrznej spiżarce wystającej za oknem. Tak na wszelki wypadek. W ten sposób zawsze szybko mógł się pozbyć niebezpiecznych przedmiotów. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Dopiero teraz dostrzegł, że z emocji jest cały spocony. Przebrał się, nastawił pralkę, wziął prysznic i poszedł spać.

Przez najbliższe dni nic nie robił poza ćwiczeniami na symulatorze. Wreszcie w czwartek znowu pożyczył z firmy dostawczy samochód, załadował do niego drona starannie zamaskowanego tekturą oraz folią, odjechał sto kilometrów od Paryża i na wielkiej polanie przez pół dnia ćwiczył startowanie, wznoszenie i lądowanie pojazdu. Szybko się uczył, a symulator okazał się świetnym treningiem. Zadowolony wrócił do domu, zaparkował samochód pod wiaduktem i położył się spać.

Kolejny dzień minął pod znakiem dalszych treningów. Jean nawet odwołał randkę z Emmą. Tym razem za pomocą dwóch małych butelek napełnionych wodą ćwiczył zrzucanie bomb do celu namalowanego jaskrawą farbą na trawie. Nagle obok jego samochodu pojawił się inny dostawczak, z którego wysiadło kilku młodych ludzi z nieco mniejszymi od jego dronami. Zaniepokojony mężczyzna uważnie obserwował intruzów, którzy po krótkiej, ale wnikliwej obserwacji wydawali się nieszkodliwymi młodzianami z kółka modelarskiego.

- Dzień dobry, widzieliśmy z daleka pana pojazd. Jest świetny. Można obejrzeć?
- Proszę bardzo.
- Fachowa robota. Sam pan skonstruował to cudo?
- Tak, to prezent dla syna.
- Chciałbym mieć takiego ojca.
- Dziękuję.
- Mogę coś zasugerować? Niech pan inaczej ustawi silniki i parametry lotu. Te tutaj są maksymalne i nie do końca zdają egzamin.
- Jesteś pewny?
- Jak najbardziej. Ma pan przy sobie programator?

— Oczywiście.

— Mogę to panu poprawić, znam się na tym.

— W czym to pomoże? Będzie dłużej latać?

— Nie, tylko lot się ustabilizuje, baterie odpoczną i będzie mógł pan celniej bombardować butelkami okrąg na ziemi.

— Zgoda, oto programator, możesz działać, ale jeśli coś zepsujesz, odkupisz mi pojazd.

— Spokojnie, odrobina zaufania wystarczy. Jesteśmy z kumplem mistrzami regionu w tym temacie.

— Zaraz się o tym przekonamy. Mogę obejrzeć wasze pojazdy?

— Tak, proszę, są nieco inne od pańskiego, mniejsze i szybsze, ale ten kolos jest za to fantastyczny i ma możliwość bombardowania. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

— To osobiste życzenie mojego syna.

— Ma wyobraźnię...

— Prawda.

Rzeczywiście młodzi ludzie usprawnili nieco projekt Jeana, potrenowali, pożegnali się i odjechali, a mężczyzna w milczeniu obserwował cofający samochód, który miał tablice rejestracyjne z innego okręgu. Może faktycznie to tylko dzieciaki, a może policjanci lub agenci kontrwywiadu. Postanowił więcej nie wracać w to miejsce.

Przygotowania uznał za zakończone, teraz tylko czekał na dogodny moment. Wreszcie nadszedł ten dzień, a raczej noc. Było jasno, ciepło i bezwietrznie. Jean zaparkował daleko od miejsca egzekucji terrorystów, po czym powoli przebiegał się przez rzadki las, taszcząc na plecach rozłożonego na części ciężkiego drona. Wreszcie zmęczony dotarł na miejsce, spojrzął na polanę przez specjalną, wojskową lornetkę. Napastników było dziewięciu, mieli cztery automaty AK-47, z których trenowali celowanie. Uważnie studiował twarze napastników. Szybko rozpoznał dwóch, którzy chcieli odebrać mu życie. Reszta go nie interesowała, choć tak naprawdę chciał zabić ich wszystkich. Cicho i spokojnie złożył powietrzny statek. Sprawdził akumulatory, umocował jedną z bomb, przygotował własnej produkcji żarnik i uruchomił dron. Ten szybko wzniósł się w powietrze, zatoczył koło nad drzewami i poszybował w kierunku oświetlonej ogniskiem i kilkoma lampami elektrycznymi polany. Zdumieni terroryści zdążyli tylko unieść głowy, słysząc dziwny dźwięk. Po króciutkiej

chwili obok ogniska upadł czarny przedmiot i prawie natychmiast eksplodował, tworząc kulę ognia przy akompaniamencie potwornego huku. Nastąpiła dziwna cisza.

Jean działał jak maszyna. Zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu, a pierwszy granat na pewno nie zabił wszystkich napastników. Tak też i było. Po minucie młodzi Arabowie zaczęli jęczeć, stękać i wyć. Dwóch z nich odniosło niegroźne rany i chcieli pomóc kamratom. Jeden pobiegł po apteczkę do samochodu, drugi wziął automat, przeładował i uzbrojony w potężny reflektor zaczął patrolować las. Francuz padł na ziemię i wysłał pojazd w ponowną misję. Tym razem bomba upadła nieco dalej, ale powaliła dwóch napastników, którzy byli w stanie chodzić. Jean wylądował dronem, następnie podczołgał się do obozowiska terrorystów, z którego słyszał tylko wrzaski i rżenia. Ktoś umierał i błagał o litość, co nie zrobiło na Jeanie żadnego wrażenia. Zabrał nadajnik z samochodu terrorystów i wycofał się między drzewa. Zapakował drona na plecy i uciekł z miejsca zbrodni. Wreszcie, cały mokry od potu, dopadł swojego samochodu, uruchomił silnik i odjechał w kierunku Paryża. Spodziewał się karettek, policji i żandarmerii, tymczasem panowała dziwna cisza i było spokojnie. Nerwy i stres powoli opuszczały jego ciało. Udało się, dokonał tego, uratował siebie i swoją córkę. Ogromna radość wypełniała mężczyznę dumą. Wreszcie zrobił coś dla Francji, zlikwidował grupę terrorystów, był bohaterem.

Wrócił do swojego miasteczka, zaparkował samochód pod wiaduktem, zabrał dron do domu i poszedł spać. Rano włączył telewizję, w której nie padło nawet jedno słowo o nocnym ataku. Uspokojony rozkręcił drona na części. Postanowił posprzedawać je modelarzom z całej Europy. Wcześniej zbierał zamówienia, założył fikcyjne konto i w ciągu kilku dni pozbył się wszystkiego, odzyskując część pieniędzy. W drodze do pracy wyrzucił do kolejnych śmietników ciuchy i buty, w które był ubrany tamtej nocy, wymienił opony w samochodzie służbowym. Wiedział jednak, że policja będzie szukać i węszyć i kto wie, może nawet trafią na niego.

Wreszcie po tygodniu Francję obiegła wieść o tajemniczej śmierci grupki terrorystów. Jean z uwagą śledził wszystkie wiadomości telewizyjne. Przypadkowy mężczyzna znalazł obozowisko młodych Arabów. Podobno zginęli w okrutnych mękach. Jean przygotował się na najgorsze. Czekał. Nagle zadzwonił do niego Paul:

- Witaj, przyjacielu.
- Cześć.
- Oglądasz czasami telewizję?
- Oczywiście.

— Musisz się do nas zgłosić na przesłuchanie i to jak najszybciej.

— Rozumiem. Mogę wiedzieć, o co chodzi?

— Tak. Wśród zabitych Arabów w ich ukrytym obozowisku rozpoznany został ten, który zaatakował cię nożem. Tak przypuszczamy, ale musisz nam pomóc.

— Dobrze.

— Bądź jutro rano o dziewiątej. Zadzwonimy do twojej pracy.

— Dziękuję.

— Nie martw się, to potrwa tylko kwadrans.

— Do zobaczenia.

Jean odłożył słuchawkę i ciężko usiadł w fotelu, po czym wypił duszkiem kieliszek koniaku. Przez kilka minut zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Wiedział, że nie ma zbrodni doskonałej, jest tylko kiepski policjant. W myślach analizował swoje zachowanie z ostatnich dni, był nie dość ostrożny, zbyt pewny siebie, może za słabo szyfrował swój komputer. Wreszcie zmęczony poszedł spać. Rankiem znowu wzięt prysznic, ubrał garnitur, włożył okulary i poszedł wolnym krokiem w kierunku posterunku policji. Szedł prawie godzinę, co pozwoliło mu nieco ochłonać i przygotować się na rozmowę z komisarzem policji. Wreszcie dotarł do prefektury, wszedł do gabinetu przyjaciela, który w tym momencie stał przy oknie i palił spokojnie papierosa. Na widok Jeana drgnął, uśmiechnął się, zawrócił do biurka, obszedł przyjaciela i przywitał się z nimi. W końcu obydwaj mężczyźni usiedli.

— Witaj, kiepsko wyglądasz.

— Mam ostatnio dużo pracy.

— Jak my wszyscy.

— O co chodzi?

— A no właśnie... Jak zapewne wiesz, ktoś wykończył dziewięciu terrorystów i to w bardzo ciekawy i nieszablonowy sposób, a mianowicie granatami własnej roboty... prawdopodobnie dwoma lub trzema. Sprawdzamy to. Nasi technicy są w szoku, a nieznaną napastnik wzbudził u nich podziw. Jak na amatora był dobry, ale mniejsza z tym.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Dobrze pytanie. Jeden z zabitych to prawdopodobnie twój niedoszły zabójca. Oto jego zdjęcie. Poznajesz go?

— Tak, to mój sąsiad z ulicy. Jeździł takim czerwonym, sportowym motorem.

— Zgadza się. Wielokrotnie notowany w naszej kartotece, pospolity przestępca, ostatnio związał się z radykałami, miał broń, szykowali zamach, mieliśmy ich na widelcu, ale ktoś nas ubiegł. Może konkurencja? Tego nie wiemy. Podpisz zeznanie.

— W jakim celu?

— Zamykamy oficjalnie twoją sprawę. Jesteś wolny.

— Dziękuję. Mam pytanie.

— Słucham?

— Jak on zginął?

— Dostał siedem odłamków chałupniczo wykonanej bomby, cztery w brzuch. Umierał dwie doby... straszna śmierć... wykrwawił się w bólu.

— Rozumiem.

— Całym swoim nędznym życiem na to zapracował, ale takiej śmierci nikomu bym nie życzył.

— Straszne.

— Ano, takie jest nasze życie, wszyscy walczymy o przetrwanie.

— Nie rozumiem.

— My, jako naród, my jako Francja i Europa — to jest wojna, śmierć za śmierć. Dzisiaj jesteśmy w stanie wojny i nie będzie pokonanych oraz zwycięzców, tylko ci, którzy przetrwają.

Jean spojrzał nieco zszokowany na przyjaciela, który stał dumny i wyprostowany niczym słynny generał z przeszłości. Zapalił papierosa i nieco speszonym głosem powiedział:

— Musimy się spotkać i porozmawiać, i to jak najszybciej.

— Czy coś się stało?

— Nie, nic takiego, ale dzisiaj Francuzi muszą być braćmi, wspierać się, jesteśmy starymi kumplami, więc warto czasem porozmawiać.

— Rozumiem. Gdzie i kiedy?

— U mnie w domu. Wiesz, gdzie mieszkam?

— Tak, pamiętam.

— Jutro o dziewiętnastej. Będziesz?

— Naturalnie.

— Żona przygotuje dobrą kolację i wino, powspominamy dawne czasy.

— Super. To do zobaczenia jutro.

— Masz jutro wolny cały dzień. Załatwiłem to z twoimi przełożonymi.

- Fajnie.
- Uważaj na siebie. Mieszkasz w niebezpiecznym miejscu.
- Poradzę sobie.
- Mam nadzieję.
- Skoro mój prześladowca nie żyje...
- Właśnie.

Paul dziwnie spojrział na przyjaciela, ale ten udawał, że tego nie widzi. Pożegnali się i Jean wyszedł szybkim krokiem z budynku policji. Domyślił się, że jest spalony, a policja wie wszystko. Są zbyt dobrzy, aby taki amator jak on mógł ich oszukać. Prawdopodobnie śledzony był przez cały czas. Dlaczego Paul go krył? Tego nie wiedział. A może to tylko jego chora wyobraźnia, a policja na razie nic nie wie? Zmęczony wątpliwościami, targany dziwnymi przecuciami i stresem wrócił do mieszkania. Ciężko opadł na fotel, wypił kilka kieliszków koniaku, przebrał się i zasnął. Kiedy otworzył oczy, była noc. Zmęczony poszedł do łazienki, gdy nagle usłyszał jakiś dźwięk przy drzwiach. Zdjął kapcie i boso, po cichu podszedł do drzwi. Ktoś manipulował przy zamku. Wizjer został zaklejony taśmą. Zdumiony wycofał się do pokoju. Z tajnej skrytki wyjął pistolet ojca. Był gotowy do obrony. Przeładował, odbezpieczył broń i czekał. Pierwszy napastnik powoli otworzył drzwi i delikatnie wsunął rękę uzbrojoną w nóż. Jean starannie wymierzył, po czym strzelił. Kula idealnie trafiła napastnika w dłoń. Dał się słyszeć potworny wrzask, po czym na korytarzu zapanował dziwny chaos i tumult. Słychać było odgłosy tupotu nóg kilku osób, zbiegających w szaleńczym pośpiechu po schodach.

Jean podszedł do drzwi. Futryna i ściana umazane były krwią. W przedpokoju powinien być nóż, ale ktoś zabrał dowód zbrodni. Sąsiadów nie było. Polacy wyjechali na dwa miesiące wakacji do swojego kraju, więc prawie cała kamienica opustoszała. Włamujący się do jego mieszkania mogli być zwykłymi złodziejami. Jean zmył krew, wykąpał się i czekał z naładowaną bronią do rana. Nic się nie wydarzyło. Mimo oświadczenia Paula o zwolnieniu Jeana u jego pracodawcy, mężczyzna zdecydował się jednak wybrać do biura. Zabrał ze sobą w teczce pistolet i zapasowy magazynek oraz paczkę naboju. Pojechał jak zwykle pociągiem. Kiedy dotarł na miejsce, zadzwonił do Emmy:

- Witaj, kochanie.
- Tak? Coś się stało?
- Myślałem w nocy o nas.

- To miło.
- Chciałbym skorzystać z twojej propozycji i zamieszkać u ciebie.
- Serio?
- Jak najbardziej. Mam nadzieję, że nie zmieniłaś zdania.
- Skądże. Porozmawiamy o tym podczas lunchu.
- Dobrze.
- Hm... To bardzo miła propozycja. Potrafisz pozytywnie zaskoczyć kobietę.

Jean rozłączył się. Czuł, że naraża piękną kobietę na pewne niebezpieczeństwo, ale nie miał innego wyjścia. Jego mieszkanie było spalone. Znajomy ślusarz miał wymienić zamek i założyć jeszcze jeden, solidniejszy. On musiał uciekać. Nie wiedział, kto był włamywaczem. Może to tylko pospolici złodzieje, jakich nie brakowało w jego dzielnicy, ale mogli to być też bandyci, których rodzina Araba w ramach zemsty nastąpiła na niego. W każdym bądź razie nie zamierzał rozstawać się z bronią. Na szczęście ojciec nauczył syna dobrze strzelać, trenowali na policyjnej strzelnicy i w okolicznych lasach, aż na koniec stary policjant wręczył z namaszczeniem broń synowi, twierdząc, że na pewno w przyszłości będzie potrzebna każdemu Francuzowi. Jak pokazał czas — miał rację. Nieco podenerwowany mężczyzna pożyczył znowu samochód. Ustalił z Emmą godzinę przeprowadzki i pomknął szybko do mieszkania. Ślusarz dobrze się postarał, zabezpieczył mieszkanie dwoma nowymi zamkami oraz wielką żelazną sztabą. Zadowolony Jean zapłacił ustaloną sumę, spakował cały dobytek do dwóch toreb i jednej walizki, po czym ruszył w kierunku dobrej dzielnicy, gdzie mieszkała jego kobieta. Kiedy dojechał na miejsce, odetchnął. Miał dosyć życia, no i musiał jeszcze spotkać się z Paulem. Był zmęczony.

Emma z zalotnym uśmiechem otworzyła drzwi swojemu mężczyźnie, który — niezgrabnie taszcząc dwie walizki — powoli opuszczał niewielką windę. Kamienica, w której mieszkała, była typową, wielką, sześciopiętrową budowlą z okresu „Złotej Francji”. Miała charakterystyczny kolor szarego piaskowca, windę, wewnętrzne podwórko mieszczące ręczną pompę wodną, mały trawnik i plastikowe pojemniki na segregowane odpady. Poza tym był tutaj portugalski cieć oraz wiśniowy dywan na krętych schodach, a w korytarzu unosił się miły dla nozdrzy zapach płynu do mycia drewnianych schodów. Tutaj naprawdę można było czuć się dobrze i bezpiecznie, a potrójny system zamków szyfrowych oraz dozorca zapewniały bezpieczeństwo. Wreszcie Jean, ciężko dysząc, wszedł do wielkiego i pięknego mieszkania kobiety. Nieco zaskoczony z podziwem oglądał portrety przodków Emmy zawieszane na



ścianach salonu w grubych złotych ramach. Wielka biblioteka mieściła setki woluminów od czasów średniowiecznych po dzisiejsze. Zdumiony mężczyzna przez kilka minut oglądał setki przedmiotów związanych z rodziną Emmy.

— Witaj w domu.

— Raczej w pięknym muzeum.

— Nie przesadzaj. To tylko rodzinne pamiątki.

— Meble, przedmioty kultu, książki... to kawał historii.

— Mama pochodziła ze starej arystokratycznej rodziny. To tylko pamiątki.

— Widziałaś moje mieszkanie?

— Tak, no i co z tego?

— Można powiedzieć, że mieszkam w chlewie, w towarzystwie karaluchów, pluskiew, mrówek, Polaków, Arabów, Hindusów i sam Bóg wie kogo jeszcze.

— Przesadzasz.

— Ile tutaj jest pokoi?

— Siedem. Do tego dwie łazienki, dwa schowki, dwie garderoby i duża kuchnia z osobną ubikacją.

— Nieźle.

— Dwa pokoje na końcu korytarza są twoje. Obok nich jest męska łazienka z prysznicem i gabinet mojego ojca.

— Dziękuję. Czy oni wiedzą, że istnieję?

— Oczywiście. Mieszkają wprawdzie w pałacu na południu Francji i nie lubią Paryża, i nigdy do mnie nie przyjeżdżają, ale istnieją różne środki komunikacji, prawda? Tacy już są i tyle. Nie martw się o nic.

— Dziękuję za wszystko.

— Chcesz ze mną sypiać?

— Oczywiście.

— Trzeci pokój na prawo.

— Rozumiem. Taka schadzka pod jednym dachem.

Nieco oszołomiony Jean wniósł walizki do pokoju ojca dziewczyny. Był to gabinet urządony w dobrym stylu, z wielkim dębowym zabytkowym biurkiem, obrotowym fotelem ze skóry, pełny starych przedmiotów i mieszczący leżankę pod oknem, co najbardziej spodobało się mężczyźnie. Stary hrabia, widać, lubił odpoczywać. Mężczyzna wziął szybki prysznic, przebrał się w sportowe ubranie i udał się na

poszukiwanie Emmy, którą w końcu znalazł w kuchni, szykującą warzywną kolację. Gdy go ujrzała, stwierdziła z uznaniem:

— Od razu lepiej wyglądasz. Zawsze widuję cię w wygniecionym, starym garniturze.

— Hm... lubię ten ciuch, przynosi mi szczęście.

— Jesteś przystojnym mężczyzną. Musisz inaczej się ubierać i... zmienić okulary.

— Kochanie, wiesz, że moda mnie nie interesuje. Ma mi być po prostu wygodnie.

— No, dobrze, już dobrze, nie chciałam cię urazić.

— Porozmawiamy o tym później. Mam zaraz ważne spotkanie i muszę już wyjść.

— Z kim?

— Nie z kobietą, na pewno... No, nie dąsaj się. To stary przyjaciel z czasów szkolnych. Jest policjantem i prowadzi śledztwo w sprawie napadu na mnie.

— Czy to ważne?

— Tak, nawet bardzo.

— Rozumiem. Kiedy wrócisz?

— Późno. Przykro mi.

— Będę czekała na ciebie z kolacją.

— Dziękuję. No, ale naprawdę muszę już iść. Jestem spóźniony.

— Wróć do mnie jak najszybciej.

— Postaram się.

Jean szybko wybiegł z budynku, znalazł zaparkowany kilka ulic dalej samochód, nastawił nawigację i ruszył w stronę obrzeża wielkiego miasta, gdzie w starym jednorodziennym domku mieszkał Paul. Spóźnił się kilka minut. Przyjaciel stał na schodach i z uśmiechem przywitał nieco speszonego kolegę.

— Witaj w moich skromnych progach. Jadłeś dziś obiad?

— Nie miałem okazji.

— Świetnie, właśnie siadamy do stołu. Żona się ucieszy, zawsze cię lubiła.

Zapraszam.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

— Bzdura. Zapraszam do jadalni.

— Dziękuję.

Zakłopotany Jean usiadł na honorowym miejscu. Żona przyjaciela była atrakcyjną, seksowną blondynką o ładnej, nienagannej figurze, choć urodziła sześcioro dzieci. Na widok Jeana uśmiechnęła się zalotnie i usiadła obok niego:

— Witaj, Jean, dawno u nas nie byłeś, prawda?

— Tak, od rozwodu.

— Przykra sprawa. Wiesz, co u twojej eksmałżonki?

— Nie, nie wiem. Widuję się jedynie z Marie.

— Przepraszam za to pytanie. Kiedyś byliśmy przyjaciółkami, a teraz z nikim nie utrzymuje kontaktu.

— Wiem o tym.

— Słyszałam o twojej historii. Musisz się przeprowadzić.

— Już to zrobiłem.

— Taak? To gdzie teraz mieszkasz?

— W szesnastce, u przyjaciółki.

— Dobre miejsce do życia, bezpieczne.

— Tak, to dla mnie bardzo ważne.

— Rozumiem.

Jean nieco się uspokoił, zjadł pyszną kolację, po czym udał się z Paulem do jego królestwa, czyli ładnie odremontowanej, starej piwnicy. Na ścianach wisiała flaga Francji oraz kilka starych map. Zdumiony mężczyzna dostrzegł również kilka pamiątek związanych z dawnymi czasami oraz cały arsenał broni.

— Idziesz na wojnę?

— Kto wie? O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Byłeś w wojsku, prawda?

— Tak, dwa lata, jako specjalista.

— Ale przeszedłeś szkolenie wojskowe?

— Dla służb specjalnych, nic wielkiego.

— Dobrze, a zatem znasz się na materiałach wybuchowych?

— To było dawno temu.

— Ale wszystkiego nie zapomniałeś?

— Nie rozumiem twoich pytań.

— Siadaj, Jean, musimy pogadać.

— Zgoda.

Mężczyźni usiedli naprzeciwko siebie w wielkich, starych fotelach. Paul przez kilka minut milczał i obserwował przenikliwymi oczami policjanta nieco speszonego, ale dziwnie spokojnego przyjaciela. Bawił się długopisem, wreszcie ciężko westchnął i zaczął mówić cichym głosem:

— Ile lat się znamy?

— Całe życie.

— Ufasz mi?

— Tak, jak najbardziej. Do czego zmierzasz? Mów wreszcie, o co chodzi.

— Wiem, że to ty załatwiłeś tych terrorystów.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Ładnie to zaplanowałeś, starannie i prawie dobrze.

— Masz dowody?

— Oczywiście. Śledziliśmy cię przez cały czas.

— Co mnie zgubiło?

— To, że powiedziałeś, że nie znasz napastnika, a to był gnojek z naprzeciwka.

— Niedobrze.

— Nie martw się, śledztwo w twojej sprawie zostało już zakończone, jesteś wolny.

Wykończyłeś paru wrogów Francji, więc Ojczyzna nie zrobi ci krzywdy.

— Dzięki. Czego oczekujesz w zamian?

— Jesteś bystrym facetem, byłeś, zdaje się, najlepszym studentem, prawda?

— Uhm... w czołówce.